

organiczna i organiczna razem z farmacją w lokalu na rogu ulicy Hugona Kołłątaja, w późniejszym „Barze Centralnym”. Fizjologia, biochemia i mikrobiologia w Jeszybocie na końcu ulicy Lubartowskiej. To najważniejsze przedmioty z dwóch pierwszych lat. Zapisalam się do chóru akademickiego, Akademickiego Związku Sportowego (AZS) i Bratnłaka. To chyba było dosyć, tym bardziej, że początkowo komunikacja miejska jeszcze nie funkcjonowała. W wyjątkowej potrzebie można było skorzystać z dorożki konnej.

Na pierwszym roku najważniejsza była anatomia. Codziennie w planie wykłady i ćwiczenia w prosektorium. Profesor anatomii, Mieczysław Stelmasiak przeszedł do historii ze swoim poznańskim akcentem...

Pierwsza przychodnia lekarska na LSM

Nowe bloki rosły na Osiedlu jak grzyby po deszczu. Na fundamentach wzrosły się ściany nowej przychodni lekarskiej. Mama spytała, czy podjęłabym się organizacji od podstaw i kierownictwa tej placówki. Oczywiście jako pediatra prowadziłabym również poradnię dla dzieci. Pracując w pobliżu domu byłoby mi łatwiej sprawować pieczę nad synkiem. Musiałabym jednak zrezygnować z pracy w sanatorium i poradni przeciwgruźliczej, a także z kontynuowania specjalizacji ftyzjopediatrycznej. Argument możliwości prawie stałego kontaktu z Jurkiem, chodzącym do szkoły sąsiadującej z budynkiem przychodni, przeważał. Wprawdzie miałam treść, ale do odważnych świat należy. Wstępem było objęcie opieką medyczną dzieci z LSM czasowo jeszcze w siedzibie Przychodni nr 1 przy ulicy Weteranów 11. Miałam zarabiać mniej niż dotychczas, bo zrezygnowałam z dodatku zakaźnego, ale rekompensowała to bliskość domu i dziecka. Zapoznałam się z planem architektonicznym budynku pierwotnym i po korekcie. Obserwowałam postęp robót budowlanych, a gdy dostałam do ręki klucze, przeważałam pracę na ulicy Weteranów 11 i za-

częłam wraz z pierwszymi pracownikami urządzenie i organizowanie mego królestwa zgodnie z koncepcją kierownika Wydziału Zdrowia. Byłam w swoim żywiole. Moim bezpośrednim zwierzchnikiem nie była moja matka, tylko kierownik Przychodni Obwodowej mieszczącej się przy ulicy Hipotecznej, doktor Danuta Rokicka, mądra i rzeczowa, całym sercem oddana pracy. Niestety serce nie wytrzymało nadmiaru wysiłku i stresów. Po niej byli inni.

Urządzenie przychodni było jedną wielką improwizacją. Nie było pieniędzy na wyposażenie, nie było również rezerwowych etatów dla nowego personelu...

Fragmety książki Krystyny Litwiniuk-Płatakis i Kazimierzy Litwiniuk *Póki pami dopisuje, póki jeszcze czas...*
Wydawnictwo NORBERTINUM, Lublin 2001



„Powitanie”. Po powrocie matki i brata z zesłania (Lublin, 1947)



Tablica pamiątkowa umieszczona w Przychodni Rejonowej nr 15 przy ul. Hipotecznej 4 w Lublinie

Wspomnienia i refleksje

Krystyna Litwiniuk-Płatakis-Rysak *Póki pami dopisuje, póki jeszcze czas...*

Epizod lubelski

Dzieciństwo, w każdym razie to wcześniejsze, pozostało w mojej pamięci w pojedynczych obrazach, utrwalanych komentarzem rodziny przy wielokrotnym omawianiu tych wspomnień. Urodziłam się w czasie międzywojennego dwudziestolecia, ale dostatecznie wcześnie, by okres drugiej wojny światowej przeżyć świadomie i aktywnie. To, że urodziłam się w Lublinie, było dziełem przypadku. Rodzice mieszkali w Krzemieńcu, gdzie urodził się mój starszy brat Jerzy. Pracowali oboje początkowo w Straży Kresowej, a po jej likwidacji, w jednym banku. Upadek banku, a także zamieszki polsko-ukraińskie i niepokoje na granicy zadecydowały o tym, że mama postanowiła zapewnić spokój sobie i następnemu potomkowi u swojej matki nadal mieszkającej w Lublinie. I tym sposobem zjawiłam się w mieszkaniu przy ulicy Staszica 1. Była to moja pierwsza i jedyna wizyta u babci, a trwała aż pół roku. Rodzina do Krzemieńca nie powróciła.

Pierwsze dni w Lublinie

Przyjazd do Lublina był dla mnie wielkim szokiem. Znane mi dotychczas miasta na zachodzie kraju zasadniczo różniły się od Polski „B”, którą reprezentował Lublin. Wyszliśmy z dworca. Pod nogami potworne kocie łby, a dokoła tłum Żydów małych i dużych w czarnych chałatach, czarnych jarmułkach, czarnych kapeluszach, z pejsami, z czarnymi i białymi brodami. Jazgot niesamowity. Dorożka. Załadowaliśmy się i przy akompaniamencie kopyt końskich kłapiących o bruk zmierzaliśmy do celu. Minęliśmy Plac Bychawski, na którym ujrzeliśmy egzotyczną scenkę; na tle drewnianych straganów dwóch, raczej starszych Żydów, wiodło jakiś bardzo gwałtowny spór. Widać, nie mogli osiągnąć porozumienia, gdyż w pewnym momencie jednocześnie odwrócili się do siebie tyłem, podrzucili poły chałatów i wykonali głęboki skłon, uderzając się wypukłościami pośladków. To było bardzo zabawne. Scenka ta skojarzyła mi się z koziołkami na poznańskim ratuszu. Dorożka podskakiwała gwałtownie po kocich łbach ulicy Bychawskiej. Skreśliśmy w boczną ulicę. Polna droga. To tu. Płot z drewnianych sztachet otaczał ogród, sad i dom. (...)



A co ze szkołą?

Nauczyciele nie próżnowali. Rok szkolny, wprawdzie z opóźnieniem, ale rozpoczął się. Ojciec zapisał mnie do drugiej klasy Gimnazjum im. Unii Lubelskiej, a Jurka do czwartej klasy Gimnazjum im. Yetterów. Książki oczywiście używane. Zeszyty można było kupić. Ponieważ moje gimnazjum oddało swój lokal na potrzeby Szpitala PCK, więc gościnnie, w godzinach popołudniowych korzystało z pomieszczeń szkolnych Sióstr Urszulanek. Wychodziłam z domu godzinę przed rozpoczęciem lekcji. Tyle akurat czasu potrzeba było na przejście pięciu kilometrów dzielących dom od szkoły. Wracałam z koleżankami całą gromadą. Tak było raźniej i bezpieczniej. Dźwigałyśmy ciężkie teczki, człapałyśmy przemoczonymi butami przez kałużę. Słyszmy w narastającej ciemności. Okna domów ślepe, ulice nie oświetlone. Zaciemnienie obowiązywało.

Odwiedzaliśmy w szpitalu rannych żołnierzy wręczając im drobne upominki, najczęściej papierosy. Po miesiącu nauki przyszła do naszej klasy dyrektorka - pani Mały. Była bardzo przygnębiona. Twarz miała szarą. Stało się coś strasznego. Powiedziała: „Dziewczynki, pakujcie swoje teczki i wracajcie do domu. Ze szkoły wychodźcie pojedynczo, najwyżej po dwie. Nigdzie się nie zatrzymujcie. Nie idźcie gromadą. Niemcy zamknęli szkoły. Koniec nauki. Co będzie? Nie wiemy. A wy, jeśli będziecie mogły, to uczcie się dalej same. Nie rezygnujcie, nie traćcie czasu. Zegnajcie i bądźcie ostrożne”.

To była najdłuższa droga w moim życiu. Szłam sama z opuszczoną głową. Nie widziałam wystaw sklepowych ani mijających mnie ludzi. Widziałam tylko płyty chodnikowe pod moimi stopami. Teczka ciążyła mi potwornie. W głowie zamęt. A ja człap, człap, ulicą Bernardyńską, Zamojską... Lublina jeszcze nie znam...

Okupacyjna edukacja

To, że zostałam uczennicą szkoły handlowej im. Vetterów nie było wynikiem wcześniejszych, głębokich przemyśleli, ale zrządzeniem losu, tak jak zrządzeniem losu dla mojego pokolenia był wybuch wojny. Zawieszeni w próżni po zamknięciu przez okupanta szkół średnich musieliśmy poszukać sobie nowej ścieżki prowadzącej w niepewne, dorosłe życie. Musieliśmy bezwarunkowo zdobyć sobie „przepustkę”

do legalnego istnienia w Generalnym Gubernatorstwie. Przepustką były dokumenty stwierdzające, że jest się pracownikiem, pożytecznym dla władz okupacyjnych, albo że jest się nieletnim, zdobywającym wiedzę i umiejętności przewidziane do wykorzystania w niewolniczej pracy pod kierownictwem „nadludzi”. Chwała więc dyrektorowi Sauterowi i gronu pedagogicznemu, że podjęli trud, a nierzadko ryzyko przeprowadzenia niemałej gromady młodzieży przez rafa tego dramatycznego dla całego narodu okresu, a także dla każdego z nas z osobna. Zbyt wiele czasu upłynęło od tamtych zdarzeń, by wspomnienia zachowały ciągłość. Pozostały migawki związane z jakimś przedmiotem, lekcją, nauczycielem, kolegami, drogą do szkoły i po prostu szkołą jako budynkiem, z klasami, szatnią i całą resztą, która po zajęciu przez Niemców macierzystego budynku przy ulicy Bernardyńskiej uzyskała azyl w kamienicy przy Narutowicza 37, będącej przed laty siedzibą Żeńskiej Prywatnej Szkoły Handlowej Władysława Kunickiego, tej samej, którą w 1918 roku ukończyła moja matka. I tym sposobem przejęłam po mamie pałeczkę w sztafecie edukacyjnej. Wprawdzie inna nazwa szkoły, inni nauczyciele, ale te same mury, te same ławki, a w sekretariacie dawna wychowawczyni mojej mamy - panna Józefa Kunicka, zaś w oficynie, u staruszki, byłej sekretarki szkoły Kunickiego - panny Romany Zapasiewicz, stancja dla uczennic. (...)

Zaczynam studia

Trzeba było wracać. Czekał na nas Lublin. Oczywiście po zdaniu matury opuściłam internat i zamieszkałam wraz z ojcem u znajomej pani, która odstąpiła nam w swym mieszkaniu przy ulicy Zmigród 5, dwa pokoje. Ojciec zamieszkał tu zaraz po naszym aresztowaniu. Z przejściem uświadomiłam sobie, że jestem studentką Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Rozpierała mnie duma. Z nabożeństwem wzięłam do ręki indeks. Zaczęło się śledzenie rozkładu zajęć, godzin i miejsc. A więc anatomia przy ulicy Spokojnej w dawnym Gimnazjum Lubelskim. Fizyka, biologia, a później histologia razem z wydziałem weterynarii w Gimnazjum im. Staszica na pierwszym piętrze (wejście z boku budynku). Chemia nie-

60 lat LSM

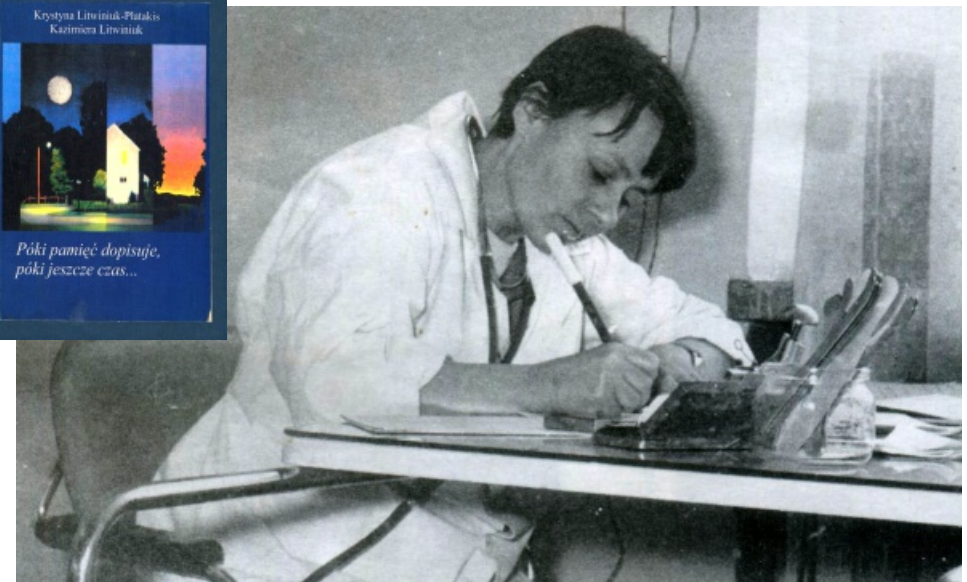


Dom Kultury
Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej LSM



Wspomnienia i refleksje

Krystyna Litwiniuk-Płatakis-Rysak *Póki pami dopisuje, póki jeszcze czas...*



W Przychodni Rejonowej nr 10 (Lublin, 1972)

Spotkanie odbędzie się

we wtorek 28 listopada 2017 r. o godz. 16.00

w sali widowiskowej Domu Kultury LSM

w Lublinie, ul. K. Wallenroda 4a, tel. 81 743 48 29

www.domkulturyism.pl

Wstęp wolny